Nr. 41. Warszawa dnia 2 (14) Października 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-a

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY

łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 3 k. 60	rocznie . . .	rs. 5
półrocznie. .	„ 1 „ 80	półrocznie . .	„ 2 k. 50
kwartalnie. .	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie .	„ 30	w Prusach „	5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środę

Skład Główny w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola: w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

MAŁE DZIECI.

I.

Dziwnego doznaję uczucia ilekroć razy zdarzy mi się usłyszeć z wielkim namaszczeniem wypowiedzianą sentencyją: „natura ludzka skłonniejsza jest do złego niż do dobrego,“ bo rzadko zdarzało mu się ubolewać nad nikczemnością rodu ludzkiego, a codziennie prawie przychodzi podziwiać piękność ludzkiej natury, tak trudnej do skalania, tak łatwiej do podnoszenia się i uszlachetniania. Twierdzenie to niejednemu może się wydać paradoksem. Widzę już jak czytelnik zatrzymuje się nad nim i położywszy palec na wierszu zawierającym zarzut przeciw utartym opinijom, z lekceważącym uśmiechem radby mię wyzwać na dysputę i pobić kilkoma aforyzmami, choćby mu przyszło wyprowadzić rzecz z raju i zacząć od pierworodnego grzechu poczciwych naszych pierwszych rodziców. Nieporuszajmy dział tak ciężkiego kalibru, nieszukajmy też daleko metafizycznej broni! Bez porównania wygodniej nam będzie brać materyjały do walki z pod ręki. Metodą doświadczalną! — jak Bóg przykazał, jak nakazuje czysty, słowiański rozsądek. Szukanie górnych przykładów zaprowadziłoby nas za daleko i nie w te strony których się trzymać zamierzam. Obierzmy za przykład dzieci, te zawiązki na ludzi; na nich przykład będzie najczystszy i najpewniejszy.

Gdybyśmy wzięli pierwszych lepszych dzieci, tak — sto tysięcy, (w społeczeństwie przypuśćmy naszym), parę dziesiątków wśród nich znalazłoby się wychowanych prawdziwie dobrze, otoczonych szczelną baryjerą od złych wpływów, (wątpię czy się tyle znajdzie), parę setek przypadnie na wychowanych jako tako, jaki tysiączek wychowanych licho — a reszta pozostanie nie wychowanych wcale, jeśli nie psutych systematycznie zgubnemi wpływami.

Wierzę iż mój rachunek nie zadowolni statystyków, ale też statystyka w tym razie opinijować niezdolna, gdyż żadne powierzchowne cechy jedynie dla niej dostępne, niemogą być wskazówkami przy takiej rachubie. Wtedy tylko możliwy byłby wierny rachunek, gdyby statystyk był jasnowidzącym i mógł wydawać zdanie o wskazanych indywiduach: nie z umiejętności czytania, pisania, nie z jakości sukienek, nie z umiejętności francuskiego języka — lecz z wewnętrznego ustroju umysłu i serca dziecka i z rzetelnej sumy wpływów, stanowiących moralną atmosferę onego.

— „Cóż to będzie za metoda doświadczalna!?“

— Czytelniku najmilszy! nie posądzaj mię o przesadę, rzuć uprzedzenia i policz w myśli ludzi znanych ci jako wychowanych dobrze.

Przypuszczam, że za miarę dobrego wychowania nie weźmiesz umiejętności tańczenia z cylindrem pod pachą. Nie oglądając się daleko pomyśl w cichości serca, czy twe własne wychowanie kierowało cię prostą drogą do nieba i czy (nie obwiniam naturalnie twoich najpoczciwszych zapewne rodziców!) mimo ich wiedzy i woli przez nich samych lub przez otoczenie nie byłeś wystawiony na najgorsze naleciałości do twego charakteru? Jeśli pojmujesz co znaczy być dobrze wychowanym, policz łącznie z sobą dobrze wychowywanych znanych ci członków społeczeństwa — a jeśli rezultat twych obliczeń zabierze większą przestrzeń nad tę jaka się znajduje pomiędzy zerem a jednością, zobowiązuję się solennie dowieść ci, żeś się pomylił. Potym bądź łaskaw zbierz w pamięci wszystkie znane ci lepiej pacholęta i znajdź średnią proporcyjonalną wszystkich dobrych czynników jakie się składają na ich moralną budowę, wszystkich prawd wcielanych w te małe istoty: postrach religijny, postrach rodzicielskiej powagi, garść zasad nie zawsze czystej wody, garść przesądów zastępujących prawdy, bezładne kłócące się wpływy... niewiele to jest, przecież choć licha rutyna, choć szczypta poczuwania się do obowiązku w wychowanku niechcących znów tak bardzo odpowiadać przed Bogiem za dane od niego *z najgorszemi nieraz skłonnościami* dzieci. A teraz, to grono szczęśliwiej urodzonych wybrań-

ŚLADY ŻYCIA.

XLI.

Tyle życia, ile... w czynie.

Jesteśmy w parku—na Pradze.—Różnobarwne tłumy snują się, utykają po niezbyt równych alejach poziewając. — Poziewając? a to dlaczego? Ha to „zabawa loteryjno-fantowa.“ Mówiąc jaśniej—loteryje fantowe przeżyły się i przejadły, nietylko więcej arystokratycznym ale i więcej demokratycznym sferom. Z tych bowiem ostatnich, park pragski rekrutuje największą liczbę loteryjnych gości, a jednak i ci wypisują na swych bladych lub karmazynowych twarzach jedno „znudzenie.“ Nawet rozmieszczone systematycznie fanty i fanciki nie zdołały tym razem wpłynąć na ożywienie zabawy; losujących bardzo mało i tylko paru terminatorów, wyrwawszy skądś grosiwa składa je na ołtarzu filantropii, przyuczając się wcześnie do zapamiętałego hazardu. Nie wiele się też staranno o uprzejemnienie gościom kilkogodzinnego tu pobytu. Były wprawdzie aż cztery orkiestry ale ulokowane w ten sposób że jedna zagłusza drugą, a to mimowolne mięszanie się tonów zakrawa się na kocią muzykę. Jest także i oświetlenie ale tak rzęsiste że spacerujący uczęstniczej zabawy w bocznych zwłaszcza ulicach witają się nosami. Słowem zabawa w parku Aleksandrowskim stała się jednym więcej argumentem że loteryje fantowe muszą się już przenieść w krainę wspomnień, a ich miejsce zajmie jakiś inny filantropijny fortel. Dla szpitala zaś pragskiego w szczególności fortel podobny staje się niezbędnym bo i instytucyja ta sama jest niezbędną równie a pożyteczną— prawdziwie.

* * *

Borykanie się dwu finansistów *naszych* z powodu kolei Nadwiślańskiej nie ustaje. Ogólne zebrania akcyonaryjuszów odbywają się po trzy razy w jednym i tym samym przedmiocie i z antagonizmem dwu walczących frakcyj znajdzie się jakieś *coś*, co albo zgromadzenie każe uważać za niedoszłe do skutku, albo wpłynie na zupełne zwichnięcie obrad. Ta sama historyja powtórzyła się i na odbytym przed paru tygodniami szóstym już z kolei zgromadzeniu ogólnym, mającym na celu zatwierdzenie lub też odrzucenie przedstawionego mu przez Zarząd planu działań. Ten cel był, powtarzamy zebrania, a jednak dzięki *sztucznej* opozycyi *mniejszości*, plan rzeczony ani zatwierdzonym ani odrzuconym nie został. Opozycyja uznała tylko plan i dołączone doń anneksy za niedostateczne, a że większości jak na zebraniach poprzednich taki tu brakowało całkowitych $^3/_4$ głosów, przeto wniosek mniejszości *musiał* zostać przyjętym i basta. W obec podobnej taktyki, i takiego traktowania kwestyi,— pytamy się jaki może byé cel ostateczny owych szumnie zapowiadanych zebrań i do czego zebrania te doprowadzić są w stanie? Wprawdzie

ców, postaw przeciw masom biednych istot, których egzystencyja wydaje się być nędzniejszą od bytu domowych czworonogów — tych dzieci, których rodzice niezdolni są inaczej pojmować wychowawcze obowiązki, jak tylko w formie zaspakajania do minimum doprowadzonych potrzeb fizycznych, zwierzęcych. Nie wspomnę już o tych nieszczęśliwych dzieciach, które wykwint cywilizacyjny psuje i wynaturza najhaniebniej.

Jeżeliśmy się już zgodzili w zdaniu o tym co się robi z dziećmi w celu przygnębienia ich demonicznej natury i uczynienia z nich członków społeczeństwa, przejrzyjmy pierwszy lepszy statystyczny wykaz zbrodniarzy w danym kraju i odciągnijmy procent przypadający na naszę prawie stutysięczną armiją kandydatów do ognia piekielnego.

Nie pozostanie nam wtedy, nic jak przebłagać Opatrzność za bluźnierstwa, miotane przeciw najprzedniejszemu jej dziełu, przeciw naturze ludzkiej. Bijmy się w piersi iżeśmy człowieka mieli za tak szkaradną istotę, za tak okropne gniazdo wszystkich grzechów głównych! Toż najlżej już licząc wedle skażenia ludzkiej natury, większa połowa wziętego pod uwagę ogółu, powinna przypadać na skończonych zbrodniarzy, nawet biorąc pod uwagę mniej więcej mocne ramy społecznego porządku, nie dozwalające rozpasywać się sprośnym chuciom do złego.

Nie desperujmy nad ludzką naturą, nad złem tkwiącym w rzeczach! Człowiek nie jest zły, świat nie jest zły, złych rzeczy nie ma: jest tylko złe zestawienie ich, złe uwarunkowanie, są złe i fałszywe związki, fałszywy ich rozwój lub brak rozwoju.

Zbrodniarzy wypadł nam mały procent, mały odnośnie do fałszywego założenia, które przypuszcza, że każdy człowiek od urodzenia kwalifikuje się już do domu poprawy i kary, więc uciecha nasza niech nas też nie prowadzi za daleko, bo czyliż ten tylko jest złym człowiekiem, na kim położono pieczęć kar głównych? czy zgodzimy się uznawać każdego za prawdziwego człowieka, kogo opinija publiczna nie wskazała palcem jako czyniącego szkodę na życiu, zdrowiu i majątku bliźnich, lub nadużywającego w swych czynach pochlebnego imienia człowieka? Mało jest ludzi prawdziwych, każda prawie jednostka jak każdy liść w jesieni, nosi na sobie liczne skazy i ślady uszkodzeń i chorób moralnych. Wychowania! wychowania!

Natura ludzka nie jest ni zła ni dobra, pojęcia dobrego i złego są wyłącznie naszą ludzką własnością, to nasze święte ideały i przerażające potwory; w naszej też tylko mocy jest rozwinąć skrzydła ku wyżynom dobra i z tego samego drzewa budować drabinę do nieba ideałów, z którego możnaby zrobić szubienicę. Takby się zdawało — a przecież więcej się skłaniamy do dobrego. Dążenie to jest naturalnym kierunkiem naszej natury, jak zwracanie się igły magnesowej ku północy; przecież celem każdego poruszenia naszego jest — lepsze. Potrzeba tylko skierować to dążenie ku rzeczywistemu dobru, wyprostowania dróg ludzkich. Prawdy i światła potrzeba, aby przyświecała w tych drogach, ustalenia natury ludzkiej przeciw pozorom dobra, rwącym ją na łatwiejsze a zgubne ścieżki, właściwego rozwoju dusz, właściwej moralnej budowy. Wychowania!

Otóż zapał uniósł mię za daleko — do wygłaszania przekonań, których znów może wypadłoby bronić; walka ta zaprowadziłaby mię na jakie rozstajne drogi, gdzie znowu wyzwanoby mię na rękę; a przecież jestem spokojnym człowiekiem i nie lubię wcale herbacianych dysput w których najczęściej każda ze stron wojujących nie rozumie wcale o co chodzi drugiej. Jako człek spokój miłujący, zamierzyłem tylko mówić o tak niewinnej rzeczy o — „małych dzieciach,“ a cały ten mimowoli za długi wstęp miał służyć tylko do wypowiedzenia:

„Dziecię to czysty, cudownie czysty i piękny materyjał na człowieka, to śliczny pączek najpiękniejszego z ziemskich kwiatów, niepokalany typ nieświadomej siebie niewinności, co wywołał tak rzewny uśmiech na usta Chrystusa. Te święte ziarna przyszłości, dane nam są w ręce, a my je psujemy, nie pomni na pełne grozy słowa wielkiego mistrza ludzkości... Rzucamy je popsute na niwę życia, więc niwa ta pokrywa się przerażająco ubogim i tak nędznym plonem, iż gdyby gospodarz ewangeliczny przyszedł żąć — niebyłby pewnym co kazać znieść do stodoły, a co przeznaczyć na ogień.

. . . .

Któraż z matek patrząc na swe dziecię, rozkosznie probujące użytku rączek i nóżek, gruchające różanemi usteczkami nie ujęte jakieś dźwięki — któraż z matek nie pyta się wtedy swej pieszczotki: „czym ty będziesz synku? jaka gwiazda będzie ci świeciła w życiu?... Tysiąc pytań podobnych zadaje, ze łzami w oczach— komu?... Powinna sobie zadać te pytania; te niespokojne, tkliwe uczucia i siłę tej modlitwy którą szepce nad kołyską, zwrócić w siebie samę i zapytać się w głębi serca i sumienia: „czym ja uczynię tę odrobinę ciała ożywionego tlejącą iskierką życia?

Natenczas pytanie to nie rozpłynie się w westchnieniu wraz z nutą kołysanki, macierzyńskie uczucie nie zadowolni się rojonym widmem białego aniołka, co roztoczył już swe skrzydła na dziecinę, aby ją osłaniał przed szponami szatana czyhającego z ubocza, bo matka, która już rozmierza swe siły i czuje świadomie, że sama jest uprzywilejowaną twórczynią przyszłości syna, nie cofnie się z bojaźnią przed trudem świętego obowiązku, nie uwierzy patrząc w jaśniejące niewinnością oczęta swojej pociechy, aby ta — wyższą jakąś wolą miała być skazaną na zatratę i przepełnioną zarodami złego. Nie ulęknie się ona widziadeł złowrogich wpływów, mogących stanąć między nią a dzieckiem, bo miłość natchnie ją heroizmem ptaszyny, broniącej swego gniazda przeciw stokroć silniejszym wrogom; chyba tylko w skrusze serca uzna, że jest słabą, nieprzygotowaną do czekającego na nią dzieła, że sama nie zna dróg tych, któremi ma syna prowadzić. Taka obawa nie długo ją trapi — odpędza ją uczucie gotowe do poświęceń, wsparte żelazną siłą obowiązku i odpowiedzialności. Matka czuje już, że jej istnienie ma cel niezmienny, wielki; zeznając to, podejmuje powinność serdeczną, najświętszą, od której nic ją nie zwalnia, nic nie tłomaczy.

Zrodzić — było pierwszą częścią jej zadania — naturalną; wychować — jest moralną drugą, która część jej życia ma zająć i spromienić światłością cichej pracy.

Na pierwsze dnie życia niemowlęcia, natura przygotowała w matce jakby nadludzki zapas poświęcenia i miłości.

Bezsenne noce, nieobliczone trudy, troskliwość bez granic, wszystko to ponosi matka jako rzecz powszednią. Nie dziwmy się; dziecię jest jeszcze niby najdroższą cząstką jej własnego ciała. Pomiędzy nią a odłączoną nową istotą, zachodzi spotęgowane instynktowe uczucie. W zwierzętach widzimy często wyższy jeszcze heroizm macierzyństwa: to rzeczy

---

po każdym zgromadzeniu mamy przyjemność w wielkich specyjalnie do niektórych pism dołączanych „dodatkach“ podziwiać krasomówczą werwę panów Wyszniegradzkich, Blochów i t. p. bojowników mniejszości;—ale niestety, w owych elokwentnych „contra“, oprócz tendencyjnego paraliżowania sprawy i działanie na zwłokę nic więcej niepodobna jest dostrzedz. Cóż to są za pocieszne niekiedy *szprynce* oponentów! Tak np. na ostatnim zebraniu p. Wyszniegradzki zastanawia się głęboko nad faktem, dlaczego Zarząd kolei Nadwiślańskiej tak „bardzotroska się o personel służbowy, że aż dla każdego ze zwrotniczych przeznacza osobną kuchnię.“ Widocznie pan akcyjonaryjusz jest zdania że dziś ów personel służbowy można nabyć na własność, nie myśląc bynajmniej o jego najniezbędniejszych potrzebach, tymczasem zarząd odmiennego jest zdania, i ot jeden z motywów dowodzących (!) że przedstawiony plan działań jest niedokładnym (!). I niechby zresztą trawieni kolejową gorączką finansiści kłócili się prywatnie i publicznie; — niechby prowadzili budującą zaiste polemikę po wszystkich tutejszych i nietutejszych pismach, byleby nie cierpiała na tym jedna z najpilniejszych spraw kraju, antagonizm finansowo-prywatny nie oddziaływał najfatalniej na interes ogólny. Tu rzecz się ma wprost przeciwnie i to właśnie wywołuje słuszne oburzenie opinii publicznej. Kolej Nadwiślańska jest potrzebą rzeczywistą i potrzebą ogólnego znaczenia. Koncesyja udzielona, środki nagromadzone, ba i termin nawet rozpoczęcia budowy zapowiedziany. Jednak walka, walka dość poziomych interesów prywatnych, siły i środki marnuje, nadając całej sprawie anormalny kierunek. Jak długo tak będzie—trudno odgadnąć; to tylko jest pewnym, że społeczeństwo nasze nigdy może nie miało lepszej sposobności, poznać wartość swojego „finansowego świata“.—jaka niestety nadarza się obecnie. W każdym zaś razie nieby nie szkodziło,—dla obmyślenia środków pogodzenia zapaśników, naznaczyć *konkurs*, bo koszta takowego na przyśpieszeniu iście po obywatelsku (!) traktowanej dziś sprawy, opłaciłyby się sowicie.

* * *

Pisma prowincyjonalne, nie mogą jakoś zyskać trwałego dla swej egzystencyi gruntu. Niedawno zmarł jak wiadomo „Tydzień“ Piotrkowski, a obecnie zmartwychwstała również niedawno „Gazeta Kielecka“ w inne podobno dostaje się ręce. Fakt ten, w obec wykrzykników, na temat „budzącego się umysłowego ruchu prowincyi, dziwnie przyznajmy, odbija. Niektórzy większą część winy niepowodzenia, przypisują samym redakcyjom niefortunnych organów; nam się jednak podobny zarzut nie wydaje bardzo słusznym. Podług nas najmniej tu może winny redakcyje, a najwięcej obojętność sz. prowincyjonalnej publiki. Redagować pismo w Warszawie a redagować je na partykularzu,— to znaczy to samo co np. jechać koleją w wagonie 1-ej klasy a jechać kuryjerką pocztową po lubelskiej szosie. Tu to jest w Warszawie łatwo i o „niedrogich“ (!) nawet współpracowników, tam drogich i niedrogich, na lekarstwo nie można dostać. Tu życie pełniej rozwinięte a tym samym i zdobycie materyjału łatwiejsze, tam brak życia i ruchu, zacieśniać musi obserwacyją i utrudniać zbieranie faktów. Tu pisma potykają się mniej lub więcej ostro ale tylko pomiędzy sobą, tam walczyć muszą z dziesiątkami koteryjek prywatnych i setkami osobistych zawiści. Żądamy, aby pisma prowincyjonalne stały się *kuryjerami okolicy*; ani słowa, ta forma jest najodpowiedniejszą, najwięcej pożytku obiecującą i co więcej możliwą,—ale możliwą w takim tylko razie gdy inteligentniejsi mieszkańcy owej „okolicy“ poczują się do obowiązku zasilenia bieżącymi faktami, pragnącego im służyć organu, gdy wszyscy dla których umysłowe życie zakątka i los prasy krajowej nie są obojętnemi, staną się że tak powiemy, re-

jeszcze czysto naturalne. Idźmy wyżej! Dziecię wzrasta, instynktowa siła słabnie wraz z ustającą niejako jej potrzebą. Ptak już w tę porę odlata od sporych piskląt i nie zna ich więcej, ale matka jest człowiekiem, jej miłość jest moralna i rozumna nie tylko zwierzęcaj ona zaczyna teraz nowy peryjod pieczołowitej miłości człowieczej, moralnej, wychowawczej! o tyle wyższy od pierwszego o ile natura ludzka od zwierzęcej odbiegła... a więc o niebo całe!

Przykro jest zstępować z kraju ideałów na padół rzeczywistości, czuje się tu taki przeskok jak w zakończeniach poezyj Heinego i tak samo skrzypi pióro jak skrzypiała dysonansem lutnia poety, gdy duch jego z wędrówki po uroczych pałacach marzenia wracał do lichej lepianki rzeczy ludzkich obecnych.

Tak się nie dzieje! Powiedzenie, że człowiek jest istotą moralną, nie spełniło się jeszcze. Uczucie macierzyńskie niestety zbyt rzadko opiera się na moralnej pobudce i gdy tylko niknie zwierzęcy instynkt — nikną zarazem oznaki macierzyńskiej spójni z dzieckiem. Jest to bolesny zarzut i warto się nad nim szczegółowiej zastanowić.

Szkoda by tu już mówić o matkach bez wykształcenia, biednych, ciemnych, których uczucia zgrubiałe a umysł tępy; uniewinnia je nędza i ciemnota. Spojrzyjmy w sfery oparte na dobrobycie, bardziej przeniknięte światłem. O tych także mówić już niewarto, które wynaturzyły się do tyla, że nawet instynkt naturalny nie ma nad niemi władzy, które — odłączone od siebie dzieci, oddają w ręce obcych, aby je odniesiono jak najdalej, aby nie dolatywał krzyk niemowlęcia, a żenujące trudy około dziecka nie przeszkadzały szanownej damie przyjmować gości, bawić się, bywać na balach! O przykrych zboczeniach ludzkiej natury mówić rzecz nieciekawa, budzi wstręt i do niczego nie prowadzi; zajmijmy się więc matkami, które nie są ani ciemne, ani skalane, które ani *jeszcze nie mogą*, ani *już nie mogą* być prawdziwemi matkami, bo od ich złej lub dobrej natury zależy zachowanie się względem potomstwa.

CHŁOPSKA SPRAWIEDLIWOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA GALICYJSKIEGO

PRZEZ

M. Sacher-Masoch'a.

(Ciąg dalszy).

Nadszedł później czas, że szydziłem z tego, co mi kiedyś łzy wyciskało. Probowałem wszystkiego, lecz nic nie zmoże bogatych. Pieniądze to szczęście, to poważanie, to uczciwość. Przeciwnie, jeżeli jesteś ubogim, nikt nie troszczy się o ciebie; jesteś ladaco i takim zginiesz. Dlaczego wreszcie miałbym kontentować się suchym chlebem, kiedy rozumiem co to znaczy mieć domek z czerwoną dachówką, gołębnik, pasiekę, obórkę, a wreszcie konia i wózek na przejażdżki z moją kobieciną? Chciałbym także, aby moje dzieci były księżmi i urzędnikami; bo dla czegoż nie miałyby być? Ale nie, ty gryź ochłapy, które porzucili inni, ty bij się z trzodą o jej koryto! Niech giną twoja żona i dzieci, cóż to szkodzi? Topisz zbyteczny pomiot małych kociąt... a czymże lepszym jest twoje własne potomstwo?

Cyryl mówiąc zapalał się. Gniew rumienił jego brązową twarz. W uniesieniu swym, dwa razy napełnił szklankę i jednym chaustem wypróżnił.

— Obsaczają mnie i ścigają — ciągnął dalej. Róbcie co wam się podoba! Ten kto nie ma nic, wypowiada wojnę bogatym; tak się działo od początku świata. Brońcie się, posługujcie się waszą władzą, ale nie nazywajcie nas łajdakami, nie odwołujcie się do prawa, nie mówcie o zbrodni. Wszyscy jesteśmy tylko nędznemi egoistami, tak... wszyscy!

Oparł głowę na rękach i zdawał się usypiać.

— No — rzekłem po chwili milczenia — przypuśćmy, że masz racyją, — z tym wszystkim jednak postępowanie twoje nie daje ci szczęścia.

— Hę?... a kto to panu powiedział? zawołał Cyryl nagle prostując się.

— Ty sam.

— Ja?... A tak — ja, — powtórzył z odcieniem smutku. Z tym wszystkim są chwile, w których jestem szczęśliwym... kiedy rujnuję szczęście innych, a znam się na tym — ciągnął dalej z dzikim uniesieniem. Mam zęby jak wilk, mogę kąsać i kąsam. Tego robię zazdrosnym o żonę, na tamtego napędzam piekielną trwogę o pieniądze, sieję przestrach gdzie mi się uda, oto moja zabawa. Mówię kobietom rzeczy od których się rumienią, uczę łotrostwa dzieci, jestem kłótliwy, pijak, szuler, złodziej i kiedy znajdę sposób zrobienia psoty, nie unikam jej bynajmniej. Kto mnie może ukarać? kto?...

— Bóg... — rzekłem.

Począł się śmiać rzucając ku niebu spojrzenie nienawiści pełne; a gdy wybuchnął tym chichotem szatańskim, zdawało mi się, że z całej jego postaci widnieje coś niewymownie straszliwego.

— Czymże więc jesteś — rzekłem mu znowu po chwili milczenia — czymże, jeżeli nie łotrem?

— Niech i tak będzie! możesz mnie pan i tak nazywać — odparł zgnębiony, — każdego innego za podobne słowo zadusiłbym...

Ukrył twarz w dłoniach i ciągnął dalej.

— Lecz łotr ma jeszcze serce i może kochać tak, jakby nie potrafił żaden z tych uczciwych chłopców, którzy setkami włóczą się po świecie... Nieszczęście! nędzarzem jesteś i po co masz serce... głupcze?...

— Stój Cyrylu, — rzekłem wzruszony — dokończę ci coś chciał powiedzieć... Nie urodziłeś się pod dobrą gwiazdą, a życie zrobiło z ciebie...

— Łotra, nie rób pan ceremonii.

— Lecz w gruncie, serce twe pozostało dobrym.

— Niegdyś, — zaczął Cyryl głosem prawie tkliwym — to serce zawsze było gotowe rzucać się pod nogi ludziom, trzeba było koniecznie po nim deptać. Wszelako, ponieważ byłem młody i nie brzydki, pozyskałem miłość pewnej pięknej dziewczyny i.. gdym ją widział byłem odurzony, uniesiony jakąś rozkoszą podobną do cierpienia. Kochaliśmy się szczerze, lecz ona była bogatą a ja... ja biednym. Ojciec mawiał do niej; czy chcesz wyjść za żebraka, który połknie ci twój majątek? Nie miał racyi, ponieważ w tym czasie nie byłem jeszcze ani szulerem, ani pijakiem. Tymczasem przyszedł inny. Oddawna już nie nawidziłem tego Maksyma, nie nawidziłem go za duży spadek, który otrzymał, jak i za to, że był zawsze pyszny, że miał zawsze nowe buty;

---

porterami pisma; gdy tym sposobem, Redakcyją z czytelnikami połączy nić sympatyi, wzajemnej pomocy moralnej, i wzajemnej wymiany myśli. Redakcyje pism Warszawskich mogą mieć własnych reporterów, mogą więc mieć bez trudu i kuryjerowe nowiny. „Tydzień“ czy „Gazeta Kielecka, gdyby chciały reporterów swych rozsyłać po “okolicy“ musiałyby prenumeratorów liczyć na tysiące a do tego jak wiadomo, daleko. Z tego więc znów, na sytuacyją pism prowincyjonalnych zapatrując się punktu, przyznać ostatecznie musimy, że nie Redakcyja ale szanowna publiczność miejscowa i okoliczna jest najwięcej winną. Cokolwiek bądź o kierunku, zakresie i dążeniach prasy prowincyjonalnej dałoby się powiedzieć, to w każdym razie publiczność wspomniana nie mogłaby być rozgrzeszoną. Szanowna bowiem inteligencyja miejska i wiejska, powinnaby już być na tyle dojrzałą aby zrozumieć, że podtrzymanie bytu pisma *swojskiego* a nadewszystko pisma prowincyjonalnego jest jej prostą *powinnością obywatelską*, że życie tych pism należy do najdroższych może interesów i najwybitniejszych celów społecznych. A jeżeli taż sama publiczność która odmawia niewielkich stosunkowo obowiązkowych ofiar, na utrwalenie egzystencyi, a tym samym i na ulepszenie treści miejscowego organu, nie cofa się przed wydatkami na bale i tańcujące herbatki, jeżeli nie lęka się siedzieć w kieszeniach lichwiarzy, by przesadzać się w strojach, to publiczność ta, powtarzamy, popełnia grzech ciężki, bo grzech przeciwko społeczeństwu własnemu, którego jedyną bronią, jedynem ogniwem myśli, potężnym czynnikiem życia jest—*prasa*.

* * *

Czytelnicy „Opiekuna“ wiedzą już o istniejącej od roku *Warszawskiej spółce kolportacyjnej*. Otoż ze względu na cel i doniosłość tej instytucyi mogącej stanowić, mówimy to śmiało, epokę w naszym księgarstwie, a tym samym stać się jednym z najdzielniejszych bodźców umysłowego życia, czujemy się w obowiązku zawiadamiać ogół myślący o jej losie i powodzeniu. Wprawdzie większa część prasy stosując się do krótkowidztwa pewnych firm księgarskich najniesłuszniej uważających spółkę za niebezpiecznego rywala, zdaje się o przedsięwzięciu nie wiedzieć, i milczy o nim uparcie; to nas jednak nie obowiązują bynajmniej ale obowiązuje nas natomiast sama myśl ogólnego pożytku. Spółka tedy mimo zwykłych początkowych trudności, stanęła już silnie, i z każdym rzec można dniem działalność swoję rozwija, zyskując szeroką sympatyją ogółu. Co zaś jest najwięcej pocieszającym, to fakt; że agientury prowincyjonalne nader szybko się mnożą. Z początkiem roku było ich zaledwie kilkanaście, dzisiaj jest już *sześdziesiąt kilka*, a nie ma prawie tygodnia w którymby *nowa* filija spółki nie została otwartą. Widocznie mieszkańcy prowincyi zrozumieli że kolporterka, to najlepszy sposób dostania książek i nie omieszkują też ze sposobu tego odpowiednio korzystać. Naturalnie do takiego powodzenia i tej wziętości ksiagarskiej spółki przyczynia się niemało i wewnętrzny ład administacyjny który przy energii i specyjalnej znajomości rzeczy ze strony Zarządzającego p. *St. Czarnowskiego* śmiało za wzór tego rodzaju przedsięwzięciom postawionym być może. Ale, tego nie dosyć. Spółka aby osięgnęła swój cel przewodni, w całym tego słoznaczeniu; aby stała się dostawcą umysłowych produktów, w najciaśniejsze zakątki kraju, musi zyskać popularność wpośród mas całych, a do tego znów tylko rozumna propaganda instytucyi przez warstwy inteligentne najskuteczniej przyczynić się może. Komu więc oświata jest drogą a warunki jej znane, niech warszawskiej spółce kolportacyjnej nie odmawia, rozumno-moralnego poparcia, niech istnienie i zadanie jej popularyzuje wszechstronnie.

* * *

nie cierpiałem go ze wszystkich sił, aż wreszcie on, a raczej oni oboje, zdeptali mi serce, jak kawałek drewna, ponieważ ona za niego wyszła. Wówczas to zostałem górnikiem.

W rok po weselu, wypadek sprowadził mnie przed jego dom, na nieszczęście nas wszystkich, akurat w chwili... Ach! trudno to powtórzyć.

Cyryl zawahał się—w jego oczach i głosie, czuć było łzy, ręce opadły mu wzdłuż ciała, głowa na piersi niby pod wpływem niezmiernego znużenia.

— Nie da się to wypowiedzieć, — ciągnął dalej.

Około domu był ogród otoczony żywopłotem, a w ogrodzie znajdowała się altana z koziego powoju. Wszędzie kwiaty, słońce i zapach. Spojrzałem przez płot... ona siedziała tam, pod altaną, niech mi Bóg przebaczy! podobna do Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus. Stała się jeszcze piękniejszą i silniejszą niż dawniej, jej gorset i koszula były otwarte, a zawieszone u jej piersi dziecię, biło ją małemi rączkami, ona patrzyła na nie, tak zatopiona w swym szczęściu, że nie dostrzegła mojej obecności. Szatan mnie opanował, a jak kiedyś, wskazując Panu naszemu całą ziemię, szeptał: „Ona powinna być twoją!“ tak samo i mnie ukazał to młode, śmiejące się i piękne stworzenie. Od tej nieszczęsnej godziny błądziłem po wsi, jak wilk wałęsający się około trzody.

Pewnego dnia w niedzielę, nigdy jej nie zapomnę, grała w karczmie muzyka; inni tańcowali, ja zaś, usiadłszy w kącie, paliłem, piłem i rozmyślałem. Maksym wszedł, spostrzegł mnie i bez ceremonii usiadł przy stole.

— Dalej Cyrylu — zaczął szyderczo — rozruszaj no się trochę i wypij ze mną za zdrowie mojej żony; ona nic nie będzie miała przeciw temu.

— Ale ja mam — odpowiedziałem z gniewem — i nigdy nie będę pił z takim jak ty głupcem.

— Czyś pijany? spytał Maksym.

Mnie łatwiej niż tobie grać tu rolę wielkiego pana; idź sobie do żony, pod pantofel!...

— Ja?... pod pantoflem?... zawołał Maksym zaciskając pięści, był bowiem gwałtowny jak wszyscy bogaci i zepsuci.

— Jesteś tam, jesteś! powtórzyłem.

Uderzył mnie w twarz, uderzył, rozumiesz pan? on, bogaty Maksym, on, który ożenił się z ukochaną przezemnie kobietą...

— Cóż dalej?...

— Co dalej?... Zabiłem go! odpowiedział Cyryl śmiejąc się piekielnym śmiechem.

Tym razem dłuższe między nami zapanowało milczenie.

— Cóż się z tobą potym stało? zapytałem nakoniec.

— Ponieważ miałem dopiero lat dwadzieścia, byłem pijany i zazdrosny, ponieważ Maksym pierwszy wywołał kłótnię, skazano mnie więc na dziesięć lat więzienia. Po upływie tego czasu wróciłem już skończonym łotrem, a jednak... a jednak ona dziś należy do mnie! Czy więc nie miałem racyi?

— Ona jest twoją żoną?

— Jeszcze nie, ale będzie nią, za pomocą Boga lub szatana!

IV.

Pewnego razu, wracając z wizyty od rusińskiego księdza w Tuławie, zbłądziłem. Gdy opuszczałem dom złudzony wspaniałym dniem zimowym, niebo było jasne, błękitne i słoneczne pomimo zimna, śnieg pod stopami chrzęścił, a każda gałęź, każda igiełka jodły dźwigały na sobie kwiaty lodu, od których iskrzyła się cała góra. Lecz nim czcigodna popadyja podała nam kawę w dużych malowanych filiżankach, nim wypaliliśmy cygara rozmawiając o naturze, Buddzie, pancernych okrętach, powszechnym uzbrojeniu i tysiącznych innych rzeczach, śnieg zaczął padać na nowo i całun nocy zawisł nad widnokręgiem.

Zgubiłem więc drogę i błądziłem wśród nocy, śniegu i samotności, aż do chwili w której dostrzegłem odległe światło; pojechałem wprost ku niemu i trafiłem na młyn Teodozyi.

Niedawno huczący strumień, teraz był zamrożony; nieruchome koła spoczywały oparte na kolumnach lodu; a wszystko, począwszy od wierzb nadbrzeżnych, aż do szerokich rynien i dachu młyna, obwieszone było frendzlami srebrzystemi. Gdym zapukał, ukazała się na progu z łuczywem w ręku, właścicielka młyna, wdowa Teodozyja. Powitała mnie z uśmiechem i wprowadziła do izby.

Teodozyja należała do tych kobiet, których czas nie narusza, a które około 30-go roku życia zdają się odradzać po to, aby w ciągu kilkudziesięciu lat budzić wiarę w istnienie wiekuistej młodości. W jej osobie i zachowaniu się było coś majestatycznego; w każdym jej ruchu, w dźwięku jej głębokiego i metalicznego głosu, odzywał się zimny despotyzm. Twarz nie była klasycznie piękną. Po bliższym wpatrzeniu, kontur wydawał się zbyt surowym, podbródek zbyt wydatnym, policzki zbyt wystającemi; nos był mały i płaski, wargi zdradzały dumę i zmysłowość, zielone oczy cechowały przenikliwość, gęste i długie blad włosy miały rudawy odcień. Krótko mówiąc była to fizyjognomija kobiety upartej, energicznej i nieubłaganej, lecz na którą patrząc odrazu rozumiałeś, jakim sposobem kobiety z ludu, magnatów i bojarów robiły niewolnikami swych kaprysów. Piękna figura podnosiła wzrost jej, który zdawał się nawet być wyższym napozór, niż w rzeczywistości; każde odwrócenie głowy, ruch ręki, stąpnięcie — tworzyły zachwycającą mieszaninę wdzięków i siły.

Gdym wszedł, Teodozyja postawiła przedemną zimne mięsa, ser i butelkę wina. Potym siadłszy obok mnie na ławce, poczęła zadawać pytania, które mnie przekonały, że jest kobietą rozsądną i przezorną zarazem. Spytała naprzykład, czy dobrze zrobi sprzedając mąkę i zboże kupcom pruskim, a gdym jej wyjaśnił korzyści podobnego handlu, dodała śmiejąc się:

— Ja już postanowiłam sprzedać, znalazłszy cenę dobrą, pytam się zaś dla tego tylko, że chcę wiedzieć czy pan mój zamiar pochwalisz. Bardzo kontenta jestem z tego, że się zgadzamy.

Jaka niezależność malowała się w tych wyrazach!

Potym mówiła o polityce, o ostatniej wojnie, sejmie, nowych prawach liberalnych, a wreszcie, utkwiwszy we mnie swój wzrok przenikliwy dodała:

— Obecnie wybieramy posła, a ponieważ ja także mam głos, rozumie się przez pełnomocnika, czy więc nie zechciałbyś pan nim zostać?

— Z całego serca; lecz z jakiejże racyi myśl podobna przyszła wam w tej chwili?

— Wiem, że pan nie będziesz popierał polskiego kandydata, korzystam więc ze sposobności — odparła Teodozyja. Otóż powiedz mi pan swe zdanie, jak jest lepiej: czy żeby wy-

---

Zasłużony na polu pedagogicznym *Dr. Karol Benoni* wydaje zeszytami dla użytku wyższych klas szkół średnich, oraz i do nauki prywatnej. „Rys gieografii i historyi powszechnej“. Obecnie wyszedł już zeszyt drugi tomu pierwszego obejmujący historyją Grecyi i Macedonii. Mający się zaś w krótce ukazać zeszyt trzeci zawrze dzieje Rzymu i zakończy wydawnictwa tom pierwszy. Wobec braku u nas a przynajmniej nader skromnej ilości tego rodzaju podręczników, wydawnictwo p. Beniego jest prawdziwie cennym nabytkiem.

* * *

„Biblijotece Warszawskiej,“ należy się też wzmianka. Mamy właśnie przed sobą świeżo wyszły zeszyt 10-ty za Październik, który jakkolwiek nie grzeszy żywotnością treści, mieści jednak parę interesujących rzeczy z przeszłości. Obok pogadanki astronomicznej o przejściu planety Venus przez tarczę słoneczną p. Kajetana Kraszewskiego i wybornej powieści historycznej J. I. Kraszewskiego, spotykamy tu zajmującą gawędę p. Wł. Wójcickiego o Warszawie i jej społeczności, w początkach naszego stulecia. Jako materyjał historyczny p. Zygmunt Gloger podał o rodzinie Pułaskich, a z dziedziny archeologicznej obrobionym jest Sfinks przez p. Cypryjana Norwida. Dalej idzie kronika zagraniczna;—pod rubryką literatury polskiej mieści się: wiadomość o księgarniach najdawniejszych w Warszawie p. Aleksandra Wejnerta,— wreszcie piśmiennictwo krajowe obejmujące między innemi ocenę dzieła p. Maciejowskiego p. t. Historyja włościan w Polsce; krótkie wiadomości literackie oraz nekrologiczne zakończają zeszyt. Biblijoteka Warszawska niezbyt dawno dawała rady i mniej lub więcej surowe napomnienia wszystkim prawie naszym organom. Otóż czyby wzamian nie chciała jednej małej uwagi. Za zbyt szanujemy przeszłość byśmy Biblijotece za skrzętne zajmowanie się takową nie mieli być obowiązani. Z drugiej jednakże strony i sprawy społeczeństwa *bieżące*, za zbyt są doniosłe, i niemniej leżą nam na sercu; by pomijanie ich w szpaltach pisma peryjodycznego,—nie miało być rażącym. Czy więc dwu tych rzeczy: wspomnień przeszłości z pamięcią o teraźniejszości. Biblijoteka Warszawska nie zdecydowałaby się pogodzić?...

* * *

Koroną powodzenia wystawy było powodzenie konferencyi rolniczych. Szczegóły zakomunikowały już pisma dzienne, my też ograniczymy się jedynie do zaznaczenia cechy tych obrad a cechy ze wszech miar pocieszającej. Wszystkie bez wyjątku konferencyje odbyły się we wzorowym porządku, na wszystkich, podejmowane sprawy, traktowane z gruntowną znajomością rzeczy, wszystkie przyczyniły się do rozjaśnienia najżywotniejszych może w dzisiejszym stanie rolnictwa, kwestyj przeto cel główny osiągniętym został. Przyznajmy więc, że fakt to wlewający w serca otuchę, a w umysły siłę i życie, bo fakt dowodzący, że ziemiaństwo nasze inaczej jak przed laty myśli i czuje, że przechodząc coraz liczniej pod chorągiew: *nauki i pracy*, widzi już poniekąd jasno cel wspólny a wielki, cel wydobycia siebie i kraju z materyjalnej biedy. Przyjmijcież więc wszyscy zacni ziemianie i od „Opiekuna“ serdeczną za ten wasz zwrot podziękę, pozwólcie mu zanotować ten piękny w istocie *ślad życia*. Lecz to jeszcze nie wszystko. Odbyte konferencyje wykazały nietylko rzeczywisty dla rolników pożytek, ale utwierdziły przekonanie, że takie wspólne zetknięcie się najbliżej interesowanych w danej gałęzi pracy, taka wzajemna wymiana myśli i spostrzeżeń praktycznych, staje się jeżeli kiedy, to dziś zwłaszcza w chwili naglących reform w rolnictwie, naturalną potrzebą. To też nic dziwnego, że wniosek p. Makowieckiego, aby komitet Wystawy wyjednał u władzy pozwolenie urządzania czegoś podo-

borcze rusińskie okręgi głosowały za włościaninem, czy za księdzem?

— Moje zdanie? radbym pierwej usłyszyć wasze Teodozyjo.

Skrzyżowała ręce na stole i patrząc na mnie z boku, mówiła:

— Sądzę, że dobrze jest wybierać czasem włościan, aby i oni zasiadali między ludźmi wiedzącymi o potrzebach kraju; w ogóle przecież wolę księży, którzy trochę dalej widzą od włościan. Ale przed temi i tamtemi oddałabym pierwszeństwo takim, którzy uczyli się i ciągle mają przed oczyma to czego potrzeba dla wszystkich, to co może być użytecznym dla szlachty, włościan i mieszczan, głosowałabym za takiemi, którzy zawsze idą naprzód, a opierających się, mogą w razie potrzeby, pociągnąć za sobą, jak cielę na sznurku.

— Podobają mi się wasze poglądy Teodozyjo, widzę, że jesteście zarówno rozumna jak i piękna.

— Ślicznie dziękuję — odpowiedziała bawiąc się rękawami swej haftowanej koszuli i uśmiechając się dla okazania piękności swych zębów; ale po co mówisz pan do mnie takie rzeczy?...

— Tu zalotnica rozśmiała się jeszcze piękniej i wstając z ławki, dodała:

— Pora już spać. Przebacz mi pan moję natrętność. Czy nie jest już blisko północy?

— Jest zaledwie dziesiąta — odparłem.

— Tym lepiej!

Usłała mi w pokoju, w którym byliśmy, wyborną pościel z siana, jakiej prawie nie spotyka się u włościan galicyjskich i dodała obszerny płaszcz zamiast kołdry.

— A wy gdzie będziecie spać Teodozyjo?

— Tam obok.

Dom jej, jak większej części bogatych wieśniaków, miał dwie izby.

— Dobranoc—rzekła odchodząc —a uważaj pan na sny, bo one się sprawdzą, ponieważ pierwszy raz nocujesz pan pod moim dachem. Dobranoc!

d. c. n.

List Elizy Orzeszkowej

do p. Maryi Szeligi,

autorki powieści:

„BEZ OPIEKI.“

Zadziwi to Panią może iż korespondencyją moję przesyłam Jej drogą druku, zdawało mi się przecież że inaczej uczynić nie powinnam skoro wiadomości zawrzeć się w niej mające, obchodzą nie tylko mnie i Panią ale także i bardziej może wszystkich czytelników wyżej wymienionego utworu Pani.

Wiadomości te tyczą się głównej bohaterki występującej w powieści p. t. *Bez opieki* pod nazwą Emilii Milewskiej. Ani wątpię że młoda dziewica, ta prawa, przedsiębiercza i poważna wzbudziła we wszystkich tych którzy za pośrednictwem Pani znajomość z nią zabrali żywe współczucie i sympatyją pomimo bowiem pewnych niedoborów w charakterze i niestosowności w postępowaniu, dających się zresztą łatwo tłómaczyć niedoświadczeniem młodości i niemiarkowanym rozwagą zapałem, jest ona żywym obrazem tu i ówdzie po społeczeństwie naszym rozsianych niewiast młodych z sercem ognistym a słabemi nerwami, z głową zdolną a nieumiejętną, ze wspaniałemi chęciami a fatalną niemożnością, niewiast które na wielką arenę życia pełną walk, prac i burz rzucają się jak lwice a giną jak muchy w małych słoiczkach napełnionych ku ich znęceniu — miodem lub błotem.

Co do mnie, z żywą ciekawością ścigałam Emiliją Milewską po ciernistych drogach jej a gdym przeczytała ostatnie, roztrzygające wiersze powieści, zawołałam z uczuciem prawdziwego żalu: „umarła! no proszę! umarła! Miała lat 20, była piękną, i szlachetną, kochała naukę, pracę, jasnowłosego Serafa i — umarła! Szkoda tej róży która przed czasem przekwitła, tego ognia który zagasł, tych pragnień które się nie spełniły, tych obietnic których skutek żaden nie uwieńczył, tych nasion dobrych które nie wydały plonu! Przypomniałam sobie przy tej zręczności moję dobrą znajomą, Martę Swickę, na której śmierć pod kołami warszawskiego omnibusu własnemi oczami patrzałam i raz jeszcze pomyślałam: szkoda że wszystkie te istoty energiczne i szlachetne, za uczciwą niepodległością lub wyższą wiedzą goniące giną tak marnie, umierają tak młodo! Ciekawą byłoby rzeczą widzieć coby się z niemi działo i stało gdyby nici ich żywotów dłuższemi były o lat kilka, kilkanaście. Teraz, kędyś tam na Elizejskich polach moja biedna umęczona Marta Swicka, wita siostrzanym uściskiem przybyłą, ku niej z zapłakanemi oczami i rozkrwawionym sercem, koleżankę swą Emiliją Milewską. Biedaczki, nagadać się z sobą nie mogą o swych minionych biedach i udręczeniach i przysięgają że jeżeli kiedy duchy ich zrządzeniem wyższym wcielonemi zostaną znowu w kształty niewieście aby po ziemskim podole łez i próżności nową odbywać wędrówkę, wcale już inny wybiorą sobie sposób postępowania, cichutko jak trusie usiądą w jak największej blizkości domowych pieców a tylko zamiast tułać się po szkołach i rękodzielniach w poszukiwaniu wiedzy, pracy i zarobku, codziennie w popołudniowych godzinach gdy słońce ciepło świeci lub szara godzina poetyczne na świat rzuca mroki, przechadzać się będą w kokach i falbanach po głównej alei Saskiego ogrodu aby pośród znajdujących się tamże istot płci uczącej się i pracującej znaleść dla siebie kupców..... ach, przepraszam! chciałam powiedzieć: mężów!

Kiedym tak myślała i marzyła, przyszły mi nagle do głowy wątpliwości szczególne. Że Marta Swicka umarła na dobre o tym ja, która byłam najbliższą powiernicą jej, świadkiem naocznym walk jej, cierpień i zgonu, najlżej choćby powątpiewać nie mogę. Ale z Emiliją Milewską rzecz inna; tej nie miałam przyjemności znać osobiście i może... może Pani o śmierci jej fałszywą otrzymałaś wiadomość, może w litości nad jej cierpieniami i w chęci położenia im końca, śmierć tę Pani wyobraziłaś sobie tylko, może — słowem — Emilija żyje jeszcze a Pani o tym albo nie wiesz albo też wiedząc, dalsze pasmo jej istnienia umyślnie przed czytelnikami ukrywasz...

Przebacz mi Pani przypuszczenia te na pozór tylko skeptycyzm grzeszny objawiające, w gruncie zaś wynikające z żywego zajęcia jakie wzbudziła we mnie bohaterka Jej opowieści.

Jakkolwiekbądź, zaledwie wątpliwości powyższe w umyśle mym powstały, uczułam wnet chęć nieprzyzwyciężoną przedsięwzięcia kroków wszelkich któreby mię na ślad istnienia panny Emilii naprowadzić mogły. Myślałam zrazu o odbyciu w tym celu osobistej po

bnego corocznie podczas jarmarku wełnianego, sympatycznie przyjętym i żywo przez obecnych popartym został. Iść teraz więc powinno jedynie oto, by wniosek ten nie został zaniedbanym lub odłożonym ad acta.

* * *

Kandydaci do osad rolnych mnożą się na ulicach Warszawy. Smutne to a jednak rzeczywiste. Coraz częściej kuryjery donoszą o kradzieżach popełnianych przez małych włóczęgów ulicznych a niedawno Kuryjer Warszawski opowiedział o dwu takich kilkunastoletnich przestępcach z których jeden stawał przed sklepem na czatach, drugi zaś wchodził wewnątrz i dostawszy żądany przedmiot urządzał razem ze swoim towarzyszem nura. Na złe, a głównie na zwiększającą się liczbę dziecięcego proletaryjatu Warszawy, zwracaliśmy już w „Opiekunie“ bliższą nieco uwagę, wskazując za jednę z najważniejszych przyczyn tego zjawiska, zmianę w stosunkach rzemieślniczych, w stosunkach raczej rzemieślniczej praktaki (terminu). Dawniej praktyka ta była bezpłatną, dzisiaj jest płatną i to płatną słono. Gdy więc do wielu już rzemiosł dostać się mogą tylko zamożniejsze chłopcy,— biedni ich rówieśnicy idą na żebraninę i wyczekują rzemieślniczych przytułków;—a w miarę zwiększania się liczby terminatorów opłacających 100 i 200 rublówki, rośnie w odpowiednim stosunku i cyfra, przyszłych „kryminalistów.“ Konsekwencyja to jak widzimy logiczna, ale zarazem zbyt smutna, by ogół rozumnie myślący mógł na nią obojętnie spoglądać; tym więcej że możliwość środków zaradczych sama się niejako nastręcza. Wykazywaliśmy już nieraz faktycznie, że większość prawie majstrów, za ową opłatę nie zapewnia jednak uczniom ani ludzkiego utrzymaniu ani *rzeczywistej* nauki którą zaś znów daćby mogły specyjalnie w tym celu urządzane warsztaty wzorowe, czyli szkółki każdego fachu. Otóż gdyby o takich szkółach idąc za przykładem paru postępowych majstrów pomyślano u nas na seryjo, wtedy niewątpliwie ów fatalny stosunek złagodzonymby został. Ci co mogą płacić, wstępowaliby tylko do wzorowo naukowych warsztatów, ci zaś którzy dziś żebrzą i kraść się uczą, zajmowaliby chociaż takie same jak dawniej, ale zawsze miejsca pracy i nauki— bezpłatne. Wilk byłby syty i owca choć wczęści cała, a co najważniejsza ocalonym by był, w niemałej także części jeden z najważniejszych interesów społecznych: *moralność.*

* * *

Któreś z pism doniosło, że podawany przez nas niejednokrotnie już projekt stowarzyszenia emerytalnego nauczycielek prywatnych, wchodzi jakoby na drogę rzeczywistości, —a mianowicie że projekt ten ma zostać odpowiednio opracowany i przedstawiony do zatwierdzenia władzy. O ile i jak rychło wiadomość ta się potwierdzi nie możemy naturalnie ręczyć. W każdym jednak razie rzecz sama jest do tyla żywotną, że zasypiać jej niepodobna, i dla tego też wszystkim co gdzieindziej na tym polu zrobiono skwapliwie z czytelnikami „Opiekuna“ dzielić się chcemy. W tej właśnie chwili czytamy w „Wieku“ „list“ o krzątaniu się około własnej przyszłości nauczycielek prywatnych w Petersburgu. Według projektu jednej z guwernantek p. Samaryn, nauczycielki mają zamiar prosić o dozwolenie im urządzenia kilka publicznych sesyj, w celu obmyślenia i wynalezienia sposobu zabezpieczenia ich sytuacyi na przyszłość; a jednym z głównych punktów projektu pani S. jest: dopuścić do sesyi z prawem głosowania wszystkie kobiety które trudnią się edukacyją dzieci z wyjątkiem wykładających w zakładach publicznych.

kraju wędrówki, wkrótce jednak plan ten odrzuciłam z powodu iż czas mój, ten niezbędny podróżom wszelkim wehikuł, w znacznej części i na długo nie należy do mnie ale do redakcyj rozmaitych pism warszawskich. Jakże więc uczynić aby znaleść pannę Emiliją i dowiedzieć się na pewno co się z nią dzieje? Byłabym zapewne długo sobie głowę nad tym łamała gdybym przez kilkoletnie pisanie powieści nie wprawiła była wyobraźni mej do wymyślania różnych sposobów i sposobików rozwiązywania życiowych trudności. Przypomniałam sobie że mam mnóstwo rozsianych po różnych stronach kraju osób znajomych mi, przyjaznych i pomocy swej ludziom dobrych zamiarów nie odmawiających. Gdybym więc do nich wszystkich listy ponapisywała zapytując czy wypadkiem nie znają, nie widzieli, nie spotkali panny Emilii Milewskiej, prosząc aby uczynili wszelkie możliwe starania ku wyszukaniu osoby imię to i nazwisko noszącej i zasięgnięciu o losach jej, sposobie życia, myślenia i postępowania jaknajbliższych wiadomości?

Pomysł wydał mi się trafnym i obiecującym, uskuteczniłam go bezzwłocznie. Pokoik w którym zazwyczaj przebywam, przybrał na dni parę pozór małego biura ministeryjalnego, tyle w nim było zapisanych arkuszów listowego papieru, kopert różnego kształtu, marek pocztowych, stalówek spisanych i t. d. Po długiej nakoniec pracy rzuciłam w świat rój zapytań i — z niecierpliwością łatwo tłómaczyć się dającą czekałam odpowiedzi.

Nadeszły prędzej niż spodziewać się mogłam i — w nowy wprawiły mię kłopot, w nowe, srozsze niż uprzednie, wtrąciły niepewności. Z odpowiedzi które nadeszły, nie tak licznych jak były zapytania moje, niemniej przecież dość licznych, każda inną niosła mi wiadomość, każda potwierdzając zarówno domniemania moje o życiu i dobrym zdrowiu panny Emilii teraźniejsze położenie i usposobienie przedstawiała inaczej. Niewiem już teraz dobrawdy co myśleć, w co wierzyć i jak względem osoby tej która mię tak mocno zainteresowała, znajdować się: użalać się nad nią czy cieszyć się jej losem, potępiać ją czy uwielbiać, starać się o zabranie z nią osobistej znajomości lub też unikać starannie jej spotkania.

W kłopocie tym moim racz mi być Pani pomocą, znając bowiem najlepiej pannę Emiliją najtrafniej Pani osądzić będziesz mogła która z przesłanych mi o niej wiadomości najwięcej jest prawdopodobną i na wiarę zasługującą. Wiadomości te przesyłam Pani w takim porządku w jakim je sama otrzymałam. Pierwsza z nich głosi co następuje. d c. n.

Z dziedziny minionych wieków

przez

F. M. Ejsmonta.

I.

Skarbczyk pamiątek hr. Stanisława Mieroszewskiego w Krakowie.

Zawdzięczając uprzejmości szanownego właściciela opisywanego tu przez nas zbioru oglądaliśmy go całkowicie, a cośmy tam widzieli, nad czemeśmy się unosili, w krótkich słowach wrażenia nasze opowiedzieć postaramy się.

Pierwszym, o ile się zdaje, z najdawniejszych znajdujących się tu polskich zabytków będzie płaskorzeźba z kości słoniowej (wymiar dług. 2½, szer. 2 cale), pochodząca ze zbiorów ks. B. Woronicza, którą tenże uważał za *wizerunek Wincentego Kadłubka* (ur. około r. 1160). Jakkolwiek wątpić należy, aby robota jej była spółczesną życiu tego pierwszego z naszych kronikarzy, atoli nosi ona cechę odległej starożytności i zapewne być musi robotą klasztorną mnichów. Błogosławiony w habicie cysterskim modli się ze złożonemi rękoma przed krucyfiksem... Nad głową jego jeszcze niedawno była aureola, którą czas zniszczył—odpadła. Następnie, jako imitacyje drogich nam pamiątek z XIV w., zwracają na się uwagę *kopije z korony, berła, jabłka, pierścienie, ostrogi i guziki*, znalezione w r. 1869 w grobie króla chłopków, Kazimierza Wielkiego. Podobieństwa do oryginałów zachowano tu najzupełniejsze. Takież kopije posiada Skarbiec Katedry Krakowskiej i Muzeum Akademii Umiejętności. *Krzyż szczerozłoty z r. 1478* (wymiar: dług. 2¼, szer. 1½ cal.), a więc z lat panowania Kazimierza Jagiellończyka, roboty pięknej i gustownej. W środku orzeł jagielońskі z białej emalii śród czterech ślicznych pereł, ozdobiony dokoła w hipogryfy i satyry mitologiczne, wyglądające z poza zieleni winogradowych liści i misternych floresów; u spodu herb Litwy—złota pogoń w polu z czerwonej emalii, a w górze dwa złote orły rozdarte, służące jakby za aluzyją do dworu cesarskiego. Na gładkiej odwrotnej stronie z tła czarnej emalii świeci napis: *Johan. Ep. Crac. obtulit. Elisabethae. 1478.* (Jan, biskup krakowski ofiarował Elzbicie). Z powodu uczynionej omyłki w przeczytaniu wymienionego artykułu, o którym mówiliśmy, czytając zamiast 1478, rok 1448 puszcza się w najdziwaczniejsze dociekania, kto była owa Elzbieta? a nie mogąc żadną miarą trafić do ładu, rozcina ten węzeł gordyjski śmiałym cięciem pióra, zwalając w przypuszczeniu błąd swej własnej nieuwagi na jakiegoś „złotnika, co może później krzyż ów naprawiał i na chybił trafił położył lata, niemające żadnego poparcia w historyi....“ Tak to często winy nasze na drugich zwalać zwykliśmy..., którzy Bogu ducha winni i o niczym nie wiedzą... Jest to dar Elżbiecie, córce Alberta, króla rzymskiego i węgierskiego, a żonie Kazimierza Jagiellończyka, zaślubionej mu w r. 1454, a zmarłej w r. 1505; lub ich córce Elżbiecie, urodzonej w r. 1472, uczyniony przez Jana Rzeszowskiego, który w r. 1478 rzeczywiście zasiadał na tronie biskupim w Krakowie. Co się zaś tyczy samych ozdób i stylu roboty krzyża, one pomimo zaprzeczeń owego nieznanego nam autora, w porównaniu z innemi znanemi nam zabytkami sztuki złotniczej z w. XV (patrz: *Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodz.* przez Al. Przezdzieckiego i Edw. Rastawieckiego. Warsz. i Paryż 1852—55; tudzież F. M. Sobieszczańskiego: *Wiadm. o sztupięk. w Polsce*— Warsz. 1847) aż nadto za wiarogodnością i autentycznością wystawionej tu daty przemawiają.

Zaraz zatym następują: *Biurko hebanowe Zygmunta I lub II*, wykładane kością słoniową najwytworniejszej weneckiej roboty w stylu świetnej epoki odrodzenia (renaissance). Misternie wyrobione z kości słoniowej najdelikatniejsze arabeski, rozmaite allegoryczne figury, sceny mitologiczne, bitwy, uczty i całe grupy ludzi i bogów bogato i pysznie przyozdabiają zewnątrz i wewnątrz ten prawdziwie królewski mebel! U góry strojny i wspaniały skrzydła swe roztoczył orzeł Jagielloński z literą S. Jak wiadomo, żona Zygmunta starego, Bona, sprowadziła do nas włoskich artystów; biórko więc opisywane jest roboty jednego z tych przybyszów do Polski z pod nieba Itali, litera S, przytym oznacza imię Zygmunta, musiało więc należeć do Zygmunta 1-go, lub Zygmunta Augusta. Piękną jest także i cenną pamiątką *wypukłorzeźba na blasze srebrnej*, roboty *poussé* (wybijanie młotkiem), w formacie większego landszaftu, przedstawiająca *Polowanie Zygmunta II na dzika* w Niepołomskiej zapewne puszczy, gdzie na odwiecznym dębie wisi dotąd tablica żelazna, z napisem, że król Zygmunt w tym miejscu trzy noce spędził na łowach, w czasie których nabił siłę różnego zwierza, gdzie i dziki są wspomr ne. Rozjuszony odyniec, napastowany przez psy zajadłe, broni się, świecąc groźnie swemi szablami (kłami), gdy myśliwy już czyni zamach na jego życie; w bliższej perspektywie z poza drzew widać króla śród grupy ludzi, — tam spełniać się musi jakaś historyczna scena, na której pamiątkę może i ten obraz wykuto. Po lewej od widza, a po prawej stronie obrazu, na skale wyryty napis: *Sigismundus II. Anno 1569.* Robota w ogóle dobra; kształty regularne, naturalne, odpowiednio wymierzone; perspektywa ze znajomością więcej artystyczną oddana. Ciekawy ten zabytek w wysokim stopniu zainteresowuje, gdyż widocznie że nietylko jedne łowy królewskie przedstawić ma na celu... lecz gdy zupełnie pozbawiony wszelkiej tradycyi i historycznych podań, samo przez się wynika jeszcze zapytanie, czy rzeczywiście spółczesny i autentyczny?... Wszakże gdy mieć będziemy wolne chwile, poświęcimy kawałek czasu upartemu szperaniu po kronikach i pozostałych piśmiennych zabytkach z drugiej połowy XVI stulecia.

Tabakierka Stefana Batorego. Gdyśmy ją oglądali, w wyborny humor wprowadziła nas kuchenna łacina, w której tu dość niezgrabnemi głoskami wyryto napisy. Przypomniała nam ona owę znaną anegdotkę o Czackim, który gdy według swojego zwyczaju bez ceremonii schował sobie do kieszeni parę książek z klasztornej biblijoteki, mnich pseudo-łacinnik na ich miejscu wywiesił kartkę: Hrabius Czackus risitandus biblioteka swistawit pro publico bono.“ (P. Bykowski: *Pamiętniki włóczęgi*)... Sama tabakierka srebrna, pozłacana, zwierzchu medalijon karniulowy z inkrustancyją złotą, mający być portretem tego króla-bohatera, a dowodzący, że jeśli król rzeczywiście jej używał, musiał na pewno nie mieć najmniejszej nawet pretensyi co do swej powierzchowności, jakowa wprawdzie okoliczność bardzo dobrze o nim mówi,.. gdyż napis dokoła: *Stefanus Bathory Rex Poloniae* chyba dowiedzie, że to ma być rzeczywiście wizerunek tego Pana i Opiekuna Polaków, podobieństwo bowiem trafione zupełnie tak, jak u owego malarza małoruskiego, o którym mówi małoruski autor, że pod malowidłem owym podpisał: „se ne jest herbuz, ale sływa...“ Nad powyższym, napis dokoła medalionu: *Sii saluti ut sit tibi mens sana in corpore sano* (Będzie zbawienie, jeżeli będziesz miał ducha zdrowego w zdrowym ciele). Podniosłszy sam medalion, widzimy wewnątrz płaskorzeźbę przedstawiającą koronacyją Stefana Batorego: formy ludzkie tu tak znakomicie przedstawione, że gdyby który z tej grupy—a broń Boże! sam król— w nocy się pokazał, na śmierć by przestraszył.. Bydlęce pojęcie o rysunku!—Dokoła napis w owej kantyczkowej łacinie: *koronacio regis Stefanus Bathory 1 maja 1573 anno.* Na bocznej stronie u dołu takaż płaskorzeźba, uosabiająca króla na tronie w otoczeniu wielu osób; napis: *Stefanus Bathory Pacan (zam. pacem) fecit in Lukach —Magna* (S. B. sprawuje sądy w Wielkich Łukach). W górze wielki herb Polski, po bokach herb mały i wizerunek Matki Boskiej. Osobliwszy ten zabytek nosi cechę ordynaryjnej, szkaradnej węgierskiej roboty.

d. c. n.

OSTRA KOSA I TWARDY KAMIEŃ.

Opowiadanie z przeszłości

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

(Ciąg dalszy).

Droga to nie jest zbyt daleka, w prostej linii wynosić może z dobrą milę; — ale ta właśnie jest najsmutniejsza, najbardziej jałowa część Opoczyńskiego.— Wzgórza piaszczyste, na których gdzie niegdzie czerni się krzak jałowcu, czynią wrażenie dzikiej, pustynnej jakiejś krainy; drogi tu nie ma wyjeżdżonej, bo koła brną głęboko w piach sypki, który za każdym mocniejszym powiewem wiatru, zasuwa wszelki ślad. Każdy też z jadących wybiera miejsca twardsze, cokolwiek kępkami trawy, kozią brodą nazwanej zarośnięte. —Zapuściwszy się w te bezdroża wieczorem, albo w noc ciemną, z pewnością można zbłądzić, — a nic bardziej uciążliwego, jak jechać tu z ciężarem.

Było już dobrze ciemno, kiedy nasz ksiądz, wlokąc się przy wozach, ciężko beczkami z piwem naładowanych, wjechał do lasu zwanego Wielkim, już blisko Brudzewic leżącego.—Ciszę tu panującą przerywał jedynie wiatr., szumiący u wierzchołków wiekowych sosen—i tylko od czasu do czasu rozlegało się wołanie *„wio! wio! wista! i heta!“* które przy ciągłym machaniu bicza pobudzało strudzone szkapy do nowych w piachu wysileń.

W tym dał się] słyszeć z przeciwnej strony tentent koni i mocne gwizdnięcie, które o tej porze wśród lasu, złowrogo jakoś do uszu księdza doleciało.

Nierzadko w owych czasach prawdziwego bezrządu w Polsce zdarzały się po lasach wypadki napaści i rozboju; — myśl o zbójcach, ze wszystkiemi okropnościami rabunku i morderstwa, przeraziła proboszcza,—ciemność nocy listopadowej jeszcze się przyczyniała do powiększania grozy.

— Stój!—i co wieziesz!—zawołało naraz parę głosów.

Wozy stanęły—a za niemi zatrzymał się wózek proboszcza, którego jakby ciągnęło coś, żeby cichutko drapnąć w krzaki;—nie widząc jednak z powodu ciemności nic przed sobą, ani też wiedząc co się święci, bał się najmniejszym choćby poruszeniem zwrócić uwagi napastników.

— Gadaj psi synu! skądeś i co to tu masz na wozach!

— Z browaru księżego panie,—wieziemy piwo do Brudzewic.

— Aha!—a nie wiesz o tym że nie wolno? poczekaj! taki, owaki!—zaraz tu w tym piwie się wykąpiesz.

Dopiero domyślił się ksiądz wszystkiego;—zląkł się z razu innego wprawdzie spotkania, ale i ta przygoda nie była mu przyjemną.

Jednak krzepiąc się na odwadze dość ostro się odezwał:

— Któż to tu na drodze publicznej dopuszcza się wiolencyi i rozboju? kto śmie po nocy zastępować.

Napastnikami byli rajtar Hans z Janem Oratyńskim gajowym.

Hans dowiedział się, a może tylko się domyślił, że po ostatniej przed kilku dniami awanturze i rozbiciu na drodze beczek z piwem, ksiądz będzie chciał podesłać nowy transport; czatował więc z towarzyszem od paru dni. Jednak spotkanie z księdzem nie było przewidziane, — poznał też wnet że miał przed sobą przeważne siły,—napastowanych było czterech.

Że to był człek prędki i ryzykowny, więc posłyszawszy głos księdza, skoczył do niego z impetem wielkim i zawołał:

Tuś popie!—tego nam potrzeba!..

Dał się słyszeć trzask odwiedzionego kurka broni palnej— i ksiądz poczuł zimne żelazo lufy przyłożonego mu do ucha pistoletu.

Widząc że nie przelewki, powiada:

— A com winien że mnie zabijać chcecie? —dajcie pokój!

Hans nie miał zamiaru godzić na życie księdza, chciał go tylko nastraszyć, czyli dobrego —jak to mówią— napędzić Piotra.

Zaczym chowając do olstrów pistolety, szepnął na ucho Oratyńskiemu:

— Sami tu nie poradzim,—jedź do Żarskiego, niechaj czemprędzej z chłopami zabiega księdzu drogę.

Sam dobywszy rapiera, którym przy groźnych fukach i przekleństwach straszliwie machał i pobrzękiwał; konno stanął księdzu tuż za plecami—i całej kalwakadzie kazał tak ruszać do Brudzewic.

W drodze chciał ksiądz parlamentować:

— Panie Hans, nie czyncie tumultu w nocy. Puśćcie mnie — powiada — a wrócę ze wszystkiem do Drzewicy.

Ale Hans naglił tylko do jazdy, klnąc i grożąc rapierem, głuchy na wszelkie prośby i perswazyje.

Byli już podewsią, gdy od folwarku doszły ich liczne głosy i nawoływania. Dostrzegli niezwykłą tam i sam krętaninę, przy świetle smolnego łuczywa, dziwnie ponury blask rzucającego.

Był to Żarski, wybierający się z dworskiemi ludźmi zabieżeć księdzu drogę. Zbudzeni hałasem chłopi, powychodzili z chałup,—psy też na całej linii srodze zaczęły ujadać,—cała wieś była w poruszeniu.

Przyszło nareszcie do spotkania, — Żarski z impetem przybiegł.

— A co?—powiada Hans—panie Żarski! — dobrąśmy wzięli zdobycz.

— A widzę.—Gracko! gracko!

Dopiero Hans po wąsach się pogłaskał—i schował straszydło swe do pochew.

Ksiądz znowu:

— Proszę Mości panie Żarski rozmówić się ze mną, a konfuzyi i szkody mi nie czynić i ludzi mi nie kaleczyć.

— Nie masz tu czasu rozmawiać się,— odparł Żarski,—i wnet krzyknął na ludzi:

— Rąb piwo!—bij!

Jedni więc rąbali beczki, drudzy parobków księżych bili i rozpędzali, przy czym oberwał i proboszcz który się później skarżył, że mu mało ręki nieucieli.

Siedział on w czasie tumultu na swym wózku, milczący, ale tym bardziej groźny; — nie przemógł pokorą, więc teraz snuł w myśli wątek nielada procesu, z całym porządkiem pozwów, świadków, komisyj, wyroków, kondemnat i egzekucyj.

W tym nadbiegł z plebanii poddany jego kościelny i faworyt Wawrzon Kapturek, który mu służył dosyć wiernie.

— Co się to dzieje proboszczu?

— A widzisz!

— O laboga!—niechże nam Jegomość pozwoli, będziemy się bronić,— po co nas mają bić i kaleczyć!

Księdzu błysnęła jakaś myśl,—podniósł się na swym wózku i głosem o ile mógł najdońiejszym, tak ażeby miał świadków tego co powiedział, zawołał:

— Uchowaj Boże porwać się któremu z moich ludzi,—plag wielkich nieujdzie,— niechaj czynią z nami co chcą!

Posłyszał to i Żarski—i pono zrozumiał zdradziecką myśl tej odezwy: — wściekłość tym większa wzięła go, zwrócił się... w tym Kapturek stojący mu na drodze, rzekł:

— Mości panie Żarski—a niegodzi się tak proboszczowi naszemu drogę zastępować, ludzi kaleczyć...

— A i ty chłopie!—wrzasnął zagadnięty,— i nieposiadając się w złości, dobył szabli i plasnął chłopa prze głowę.

Gdyby nie gruba czapka, byłby mu rozpłatał łeb na dwoje, jak kapustę;—a i tak chłopu zęby się posypały, krew z czaszki rozciętej aż do mózgu spłynęła po kożuchu, wnet i sam runął na ziemię, silnie w upadku huknąwszy głową w kamień.

Rzucono się do niego i wyniesiono do chałupy;— za chwilę i Żarski, ochłonąwszy cokolwiek i żałując swej porywczości, pobiegł z nienacka obaczyć co się stało.— Ale Kapturek leżał na środku izby na ziemi, bezprzytomny,— krew kałużą stanęła mu koło głowy, a nad nim żona i dzieci, załamując ręce lamentowały:

— O laboga! nieszczęśliwa moja godzina, nieszczęśliwa!... o mój Boże! sierota ja nieboga, oj! sierota...

Wybiegł na powrót Żarski, roztrącając cisnące się chłopstwo—i pod naciskiem pierwszego, zawsze najsilniejszego wyrzutu sumienia zawołał:

— Niewinniem tego człowieka zgładził ze świata!—o mójBoże! [1] d. n.

UWAGI OGÓLNE

O WYCHOWANIU I WYKSZTAŁCENIU DZIEWCZĄT.

PRZEZ

Jadwigę Ochorowicz.

(Dokończenie).

XXVIII.

I nam trzeba rodzin, by za ich pośrednictwem naród cały podeprzeć i wzmocnić. Przykład Francyi powinien nam służyć za przestrogę. Kraj francuski bogaty, urodzajny i piękny, wydaje co prawda tylu znakomitych uczonych i przemysłowców — ale jakże nisko stoi w nim prawdziwa oświata mas, jakiż tam brak niezachwianych podstaw moralności! Naród to inteligentny z natury, zręczny i przebiegły; lecz który całe swoje szczęście na materyjalnym dobrobycie zasadza. W ogóle mówiąc, dziecię nie zna tam rodzinnego domu, nie zna prawie rodziców. I nie umie też ich uszanować. Bo zaledwie ujrzy światło dzienne, wnet je oddają na mamki poza dom rodzicielski. Obca kobieta, za pieniądze czyż może dać więcej obcemu sobie dziecku, nad pokarm i odpowiednie zapłacie dla ciała wygody? A gdzie dusza—gdzie serce lub umysł? Dla tych pokarmu za pieniądze nie kupisz!... W piątym — a niekiedy dopiero w ósmym roku życia, powraca dziecię od mamki do domu rodziców. Skąd znów na parę godzin idzie podług zwyczaju do ochrony lub do szkoły; gdzie póty przebywa, póki się czegoś nie nauczy — a raczej póki się do pracy nie usposobi; nie wyrobi w sobie zmysłu do jak najlepszego zużytkowania czasu, to jest do zarobkowania. Będąc w domu — na boskiej zwykle pozostaje opiece, bo rodziców w nim mało nawet widzi. Każde bowiem z nich pracuje osobno: bądź w fabryce, bądź w urzędowaniu lub przemyśle jakiego rodzaju; a dzieci pozostawione są sobie, póki i one nie nabędą siły do zarabiania w fabryce lub w inny jaki sposób. W możniej-

---

[1] Wiernie podług papierów procesowych, a mianowicie: „Punkta ex parte Adm, Rudi Casimiri Krypaski 1raep siti Drzevicen. Parochi Brudzoviens, contra Generosos Dominos Theodorum Kisiel Franciscus Żarski Plenipotentes et Administratores honorum Regalium son Capitaneatus Radżicens“ — Własnoręcznie przez ks. Krypaskiego spisane.

szych znów rodzinach, oddają się dzieci wcześnie do zakładów naukowych, z których zwykle prosto w świat wychodzą. Wpływ więc rodziców jest bardzo mały. Tradycyje rodzinne upadają. Ginie rodzina — a z nią powoli maleje wielki naród, choć bogactwa jego nie wyczerpane! Gdyby jednak te bogactwa właściwie używanemi były! Gdyby za ich pomocą starano się rozszerzać oświatę — a kształcąc rozum pamiętano o sercu — o uszlachetnieniu charakteru, uszlachetnieniu duszy; słowem: gdyby za rękojmią pomyślności, wzięto naukę — opartą na silnych podstawach moralnego wychowania. Gdyby ognisko domowe stało się źródłem cnót wszelkich; gdyby miłość rodzinna połączyła w silne ogniwa małe domowe zagrody... Wtedy niezawodnie powstałby naród z upadku — i stanął silnie na trwałych podstawach. Wtedy... nie tak łatwo byłoby o owych Napoleonów, Bazainów, albo innego rodzaju gienijuszów... bez charakteru!

„Trzeba być ślepym, mówi pan de Laveleye, ażeby nie widzieć, że przyszłość narodu, od stopnia oświaty jego zależy“ [1]). Ale prawdziwej oświaty nie stanowi sama wiedza, sam zbiór naukowych wiadomości i gdy Bakon powiada: „Wiedza to potęga... to słusznie z Rambossonem dodać powinniśmy: „Tak — lecz jeśli się opiera na wychowaniu moralnym“ [2]).

Koniec części drugiej.

[1]) Revue de Deux Mondes, 15 grud. 1865.

[2]) Rambosson. Wychowanie macierzyńskie wydane nakł. Redakcyi Op. Dom.

Listy z Niemiec.

II.

Droga z Berlina do Lipska.—Ziemia niegdyś słowiańska.—Słowiańskie nazwy Lipska i wsi okolicznych.—Handel w Lipsku i firmy handlowe.—Brockhaus.—Pracowitość Niemców.—Rozrywki.—„Schützenhaus“.—Teatry niemieckie.— Scena Lipska.— Engelhardt i „Dziennikarze“. G. Freitaga.—Nieco o autorze.—Stronnictwa i muza poetycka po zamachu na Bismarcka —Lipskie pola bitew.— Ks. Poniatowski, jego ulica i pomnik.—Jeszcze parę rysów Lipska.

Jadąc drogą z Berlina do Lipska, od czasu do czasu spotykasz się tu jeszcze z nazwami miejscowości, których brzmienie słowiańskie pośród niemieckich dokoła żywiołów dziwnie silnym ducha twego ogarnia wrażeniem. Gdy z pierwszej napotkanej tu zniemczonej nazwy „Trebbin“ odtwarzasz dawniejszą słowiańską Trzebinię lub Trzebień, swobodniejsza nieco myśl twa potrąca zarazem o przyczynę tych przeobrażeń, i przenosi się mimowoli w owe odległe czasy, kiedy krwawym mieczem Karol W-ki pierwszy otworzył sobie i utorował następcom drogę do rozległych siedzib słowian połabskich, między niższą Odrą i Łabą czyli Elbą rozpostartych. Przebiegasz więc myślą owe mordercze wojny, rozpoczęte w końcu VIII stulecia, prowadzone następnie w ciągu półczwarta wieku przez władców niemieckich ze słowianami z obopólną zaciętością i wściekłością nieludzką, i zakończone ostatecznie wytępieniem plemion słowiańskich w tych ziemiach. Podobnego losu Połabian doznali i południowi ich sąsiedzi serbowie łużyccy i inni słowianie zamieszkujący niegdyś ziemię, na której wytknięte dziś granice „królestwa saskiego“.

Niemiecki żywioł, rozszerzający się coraz potężniej ku wschodowi, zajmował ubogie osady i grody słowiańskie, i z biegiem czasu zmieniał je w bogate i ludne miasta. Taką rzeczy koleją słowiańska osada Lipsk, znana już w XII-ym wieku, również wrychle postać swą zmienić musiała. W aktach miejskich do dziś przechowują się dokumenty stopniowego zacierania żywiołu słowiańskiego: według tych świadectw w XIV dopiero wieku t. j. 1327 r. wyrugowano urzędownie zarówno w Lipsku jak i w Altenburgu (Starogrodzie) poprzednio tam w użyciu będący język słowian, a zaprowadzono na jego miejsce niemiecki.

Pomimo, że już 1327 r. język serbo-łużycki przestał być w Lipsku językiem sądowym, niemniej jednak w wieku następnym i znacznie później żył on jeszcze w ustach pewnej części mieszkańców miasta i jego okolic, skoro dopiero po roku 1473 przemianowano słowiański „Lipsk“ na zniemczony „Leipzig“. Naturalnie, zmianę tę od owego czasu zaprowadzono w aktach urzędowych; ustnie zaś nazwa Leipzig nierównie wcześniej przez niemców była w użyciu. Dzisiejsze także pobliskie, dokoła Lipska rozłożone, piękne wsie murowane, jak: Reudnitz, Connewitz; Eutritsch i t. d., z miastem samym kilkoma gałęziami konnej kolei połączone, przypominają nazwami swemi również wyraźnie czysto słowiańskie: Rudnice, Koniewice, Jutrzyce i t. d. Wskutek tedy olbrzymich przeobrażeń dziejowych, wciągu kilku wieków dokonanych, Lipsk dzisiejszy, ze 107,000-ną ludnością, jest miastem rękodzielniczym i pierwszorzędnym punktem wewnętrznego handlu niemieckiego. Słynne jego jarmarki (Oster-messe i Michaeli-messe) wszystkiemi 5-oma promieniami kolei żelaznych sprowadzają 20 do 30 tysięcy cudzoziemców z Europy, Ameryki, a nawet z Azyi. Pomiędzy towarami wszelkiego rodzaju przedmiotami, książki jak już wspomnieliśmy, przedstawiają jeden z najbardziej obfitych produktów tutejszego handlu. Dość powiedzieć, że znaczniejsze księgarnie z całych Niemiec, a niektóre angielskie, duńskie i szwedzkie mają tutaj stałe swe składy. Narazie niewidoczne są one dla oka świeżo przybyłego cudzoziemca, gdyż po większej części zajmują całe drugie i trzecie piętra gdzieś na ubocznych odległych ulicach i zaledwie skromnym napisem przy wejściu do domu dają znak o swoim istnieniu. Nawet ów słynny na cały świat księgarz-wydawca Brockhaus samo tylko nazwisko swe umieścił nad bramą domu, tak, że każdy, nieświadom znaczenia tej firmy, przechodzi mimo, nie zwracając na nią wcale uwagi. Ale, wszedszy do środka tej posesyi, znaczny kawałek miasta zajmującej, i przejrzawszy szeregi oficyn, które mieszczą w sobie biura, drukarnie, składy książek, papieru i t. d. i tworzą razem jakby jedno wielkie ministeryjum, można dopiero powziąć jakietakie wyobrażenie o rozległej działalności i finansowej potędze tej bardzo skromnej firmy księgarskiej. Przedsiębierczość i działalność tego zakładu nie jest bynajmniej wyjątkową w Lipsku. Rozlicznych jej przykładów na mniejszą i większą skalę setki możnaby naliczyć. Nadają one miastu charakter wielkiego mrowiska pracowników, zatrudnionych od świtu do zmierzchu, i stwierdzających rzeczywiście w praktyce tę niewątpliwą prawdę, że czas i praca stanowią istotne narodowe bogactwo. Po pracy dziennej wieczorem dopiero każdy dla pokrzepienia się i rozrywki spieszy do teatru, na koncert, przechadzkę, do piwnych ogródków, lub do takiegoż na wielką skalę ogrodu, zwanego „Schützenhaus'em“ przystrojonego świetną iluminacyją z 10,600 gazowych płomieni, zaopatrzonego w dwie dobre kapele: niemiecką (im Trianongarten) i węgierską (im Vorgarten), wśród dźwięków której przejmują widzów dreszczem wystąpienia sławnego („renommirten“) gimnastycznego towarzystwa „F. Pospischil'a“ wraz z afrykanką „mis Albertine“, drugą „Theophila“ i 4-letnim „Teodoro.“ Pomimo, że przyjemności te powtarzają się codzień od 7 do 11 i kosztują stosunkowo drogo: 10 sgr. (2 złp.), widzów jednak, nasycających niemi swe zmysły wzroku i słuchu pełno tu każdego wieczora.

Teatrów w tej porze Lipsk wraz z okolicznemi wsiami posiada kilka. Wsamym mieście na obszernym „Augustus Platz“ w sąsiedztwie drzew i pięknego stawu wznosi się gmach nowego teatru (Neues leipziger Stadt-Theater). Nie mogę się tu wstrzymać od zanotowania wrażenia, jakie sprawiła na mnie prostota zarówno okazałej budowy lipskiego teatru, jakoteż paru teatrów berlińskich, które widziałem. Za każdym razem przychodził mi na myśl nasz Wielki teatr warszawski, z całą mnogością krzyżujących się bez ładu wewnętrznych korytarzy, i pozbawiony w czasie antraktów dla ogółu widzów wszelkich dogodności. Wniemieckich teatrach, zamiast tego labiryntu korytarzyków, znajduje się na piętrze jeden tylko, opasujący dokoła główną rotundę nie korytarz, ale obszerny, piękny, a niekiedy wspaniały salon, w którym publika wczasie dłuższej pauzy, swobodnej używa przechadzki. Sala ta, jak w lipskim teatrze, sąsiaduje zarazem z dużym balkonem, na plac wychodzącym, i przez cały czas dla publiki otwartym.

(d. n.)

ODPOWIEDZI.

P. *Baczyżmalskiej* w Kownie. Żadna pomyłka w wysyłaniu Opiekuna nie zachodzi, adresujemy jak nam wskazano, Pani Baczyżmalskiej na Mostowej ulicy w domu Władyczki, a jeśli który Nr. nie doszedł, to mógł tylko pozostać na poczcie w Kownie. Posyłamy powtórnie Nr. 25.

P. *Sobańskiemu* w Sorokach. Komplet Opiekuna od Nr. 26—39 wysłaliśmy do Soroki pod pańskim adresem. Co do Wychowania Domowego, takowego dotąd wyszło tomów 7, które wysłaliśmy do Nowej Uszycy wedle poprzedniego adresu, dalsze tomy w miarę wychodzenia wyślemy do Soroki.

P. *Tomaszewskiej Racheli* w Dysnie. Nr. 7 i 25 które w czasie właściwym były wysłane, po raz 2-gi posyłamy.

P. *Piottuch* w Staszkupiszkach. Nie wiemy w jaki sposób zadość uczynić pańskiej reklamacyi, żądasz pan kartek z książeczki „Źródła Nilu“ od str. 100 do 177, kiedy całość kończy się na str. 110. Również z podróży do Afryki, brak panu od str. 76 do 101, kiedy takowa kończy się na str. 77-ej.

SPROSTOWANIE.

W N. 39 dostrzeżone są pomyłki: Art. Listy z Niemiec I (str. 311, łam. 2-go, w. 41 z dołu zam. i z armat czytaj z armat— w. 29 z dołu zam. z niklu; czytaj z niklu, — w. 23 z dołu zam. że, ma być. Że— Str. 312 łam 1. str. 3 z góry zam. karm, dla ducha ma być kar'm dla ducha — str. 26 z góry zam w grobach czytaj w grotach.— Str. 41 z góry zam. ułatwiłby czyt. ułatwił.

TREŚĆ. Małe dzieci I. — Chłopska sprawiedliwość, obrazek z życia Galicyjskiego przez M. Sacher-Masoch'a. — List Elizy Orzeszkowej. — Z minionych wieków. (Ciąg dalszy). —Twardy kamień i ostra kosa. (Ciąg dalszy). — Uwagi ogólne o wychowaniu i wykształceniu dziewcząt. (Dokończenie). — Listy z Niemiec. II. — Odpowiedzi.—*Wodcinku:* Ślady życia XLI.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.